

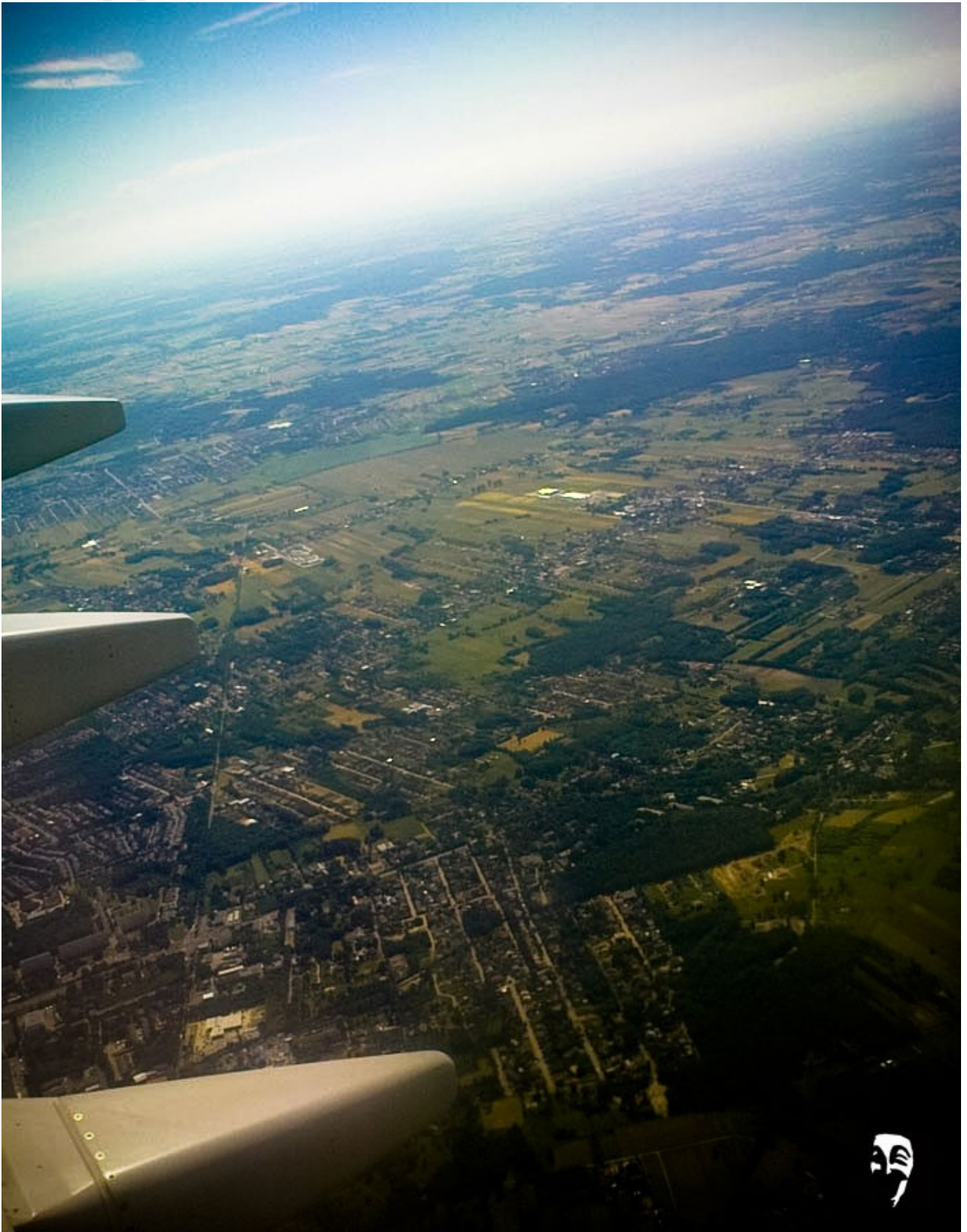
951 MILA ZAPISKI NA TANIM BILECIE

Samo wbijanie się w powietrze jest najlepsze. Variete z utworu „Aniol”



TEKST I ZDJĘCIA: MARCIN PINIAK

To jest jakiś pierdolec. Dwie godziny lotu 951 mil, a w tym samolocie ruch handlowy jak na rynku podczas wyprzedaży. Problem jednak polega na tym, że nie możesz się wymiksować, bo raz to samolot, dwa na dodatek Ryanair – dom tanich lotów jak to piszą na reklamie w Łodzi. A chciałoby się w spokoju ducha. Gazety, kotlety, napoje gazowane, konkursy i loterie. Dwóch panów obok przez cały zafajdany lot popijają napoje typu kawa i herbata i jednocześnie podziwiają najnowsze produkty w ofercie najtańszej z najtańszych europejskich linii lotniczych z logiem człowieka – harfy. Bezkresny błękit za oknem przecina skrzydło, jednak kiedy pada komenda, że można już rozpiąć super bezpieczne pasy i uruchomić swoje podręczne urządzenia elektroniczne typu plejer MP3 jest to dla mnie rodzaj tych małych zbawień, miniaturowa paranirwana. Załączam płytę „Zapach wyjścia” ukochanego polskiego zespołu Variete. Pierwszy utwór, który idealnie opowiada moją historię lub też odzwierciedla chwilowe poczucie, a z którego kwintesencja poprzedza ten tekst. Pod stopami Eden – rozlana plama poszatkowana wspomnieniami zaszyłych zdarzeń. Londyn. Mój prywatny demon o stu anielskich twarzach, objazdowy pokaz slajdów, którego szybkie sekwencje nie zdołały mnie przykuć do plazmy świadomości. Zainteresował mnie projektor oraz struga jasnego światła. Drobiniki pyłu wibrujące o brzasku – tak delikatne i bez wysiłku. Otworzyłem puszkę pandory tanim otwieraczem z tesco w sposób bezlitośnie kategoriyczny, to pewnie był jakiś poniedziałek, albo czwartek, któryś z tych tygodni wyprzedaży żyć na kredyt w metrze, albo autobusie, na ulicy albo sklepie. Nie pamiętam, bo mi się to wszystko zlewa w natłoku. Pierwsza odczuwalna zmiana jest w brzuchu, dwa palce poniżej pępka – w spirali manifestacji. To zaczyna ciężać jak ołów albo rękę. Od razu to czujesz – pasmo gęstej wibracji, które łamie twoje kody – postrzegania samego siebie i tzw. rzeczywistości. Miedziane klucze. I widzisz tą falę, która łamie każdy opór i porywa. Wpadasz pod prąd zdarzeń, zapadając się w siebie, odnajdując te aspekty o jakich istnieniu nawet nie wiedziałeś. A ta fala idzie jednak dalej, jak tornado porywając za sobą wszystko i wszystko podporządkowując określonej organizacji zdarzeń. To szósty element, piąty kierunek główny i ósmy dzień tygodnia. To jest sztuczne jak kolia Królowej Elżbiety. Kiedy to zrozumiesz coś się w tobie skończy – otwierając nowy rozdział. Dlatego oddaję najgłębszy pokłon „Wrogom” i „Demonom”. Kłaniam się nisko krańcowości.



To miasto przygniotło mnie do ściany, osaczyło i zaszczuło. Płakałem nad brzegiem tej rzeki. A jedyne co mogłem zobaczyć to odbicie w lustrze. Tutaj wojna się kończy. Pola usłane martwymi ciałami zalewa blask i kiedy wschodzi słońce nie odnajdziesz nawet jednego słowa, żeby to zobrazować. Jedyne sposob to być tu właśnie teraz, właśnie tak a nie inaczej i w ten właśnie swój własny sposób otwierając aorty własnych dróg. Nie musisz chodzić, możesz tańczyć, nie musisz tańczyć możesz skakać, nie musisz skakać możesz stać. To jest tak zwany – dobry nius. Nie musisz – możesz. Jak już wiemy diabeł tkwi w szczegółach. I czuję się tutaj zobligowany do wypowiedzenia jednego magicznego słowa:

- Dziękuję!



| paradyzine.org